Gdzie się Ganges toczy

Wanda Dynowska – Śri Umadevi – polska Jogini, ambasadorka kultury polsko-indyjskiej.

Ryszard Sawicki

Wąskie ulice Starego Konstantynopola lśniły zmoczone wiosennym deszczem w świetle ulicznych latarń. Ich lśnienie prześladowało mnie jeszcze wiele miesięcy później, kiedy chodziłem po nagrzanych tropikalnym słońcem ulicach Bombaju. W gorące dni przedmonsunowych miesięcy brakowało mi chłodu wczesnej wiosny, którą zostawiłem daleko nad Bosforem. A brak ten odczuwałem szczególnie mocno, bo musiałem oszczędzać nie tylko na jedzeniu, ale i na piciu, byłem bowiem uchodźcą w egzotycznym kraju, z którego chciałem jechać dalej. Nie wiedziałem jednak kiedy uda mi się przekroczyć kolejną granicę, czy za miesiąc czy dopiero za rok. Takich jak ja uciekinierów nikt nigdy nie przyjmował z otwartymi rękami.

Uciekinier, uchodźca. Bałem się tych określeń, unikałem wymawiania ich nawet w myśli w ojczystym języku. W języku, którego brzmienie wydawać się musiało

wszystkim spotykanym przeze mnie codziennie ludziom równie dziwne jak mnie wydawały się dziwne słowa wypowiadane w hindi czy marathi. Angielskie słowo „refugee” wymawiałem z mniejszym lękiem, bo wydawało mi się neutralne. Brzmiało bardziej bezpiecznie, już choćby z tego powodu, że nie od razu kojarzyło się z takimi słowami jak zesłaniec, więzień. W kontaktach z pracownikami banku, do którego zaglądałem co kilka dni oczekując przekazu pewnej ilości gotówki posługiwałem się angielskim. Tak samo jak w urzędach, gdzie starałem się dowiedzieć o możliwości przedłużenia pobytu.

Próbowałem się dostosować do otoczenia, lecz nie było to wcale łatwe. Zwłaszcza z powodu braku pieniędzy. Nie myślałem wtedy o możliwości zatrudnienia w Indiach. Odwiedzałem jednak takie miejsca jak port w Bombaju i starałem się wypytać marynarzy statków rozmaitych bander o to, czy mógłbym pracować na pokładzie by pokryć koszty podróży. Pracownicy the British Bank of the Middle East odpowiadali mi niezmiennie, że żadnej przesyłki nie otrzymali na moje nazwisko, a ja, rekonwalescent szpitalny, snułem się po zatłoczonym bruku miejskim niemal mdlejąc w upale. Mogłem tylko żałować, że nie udały się projekty Banku Polskiego z 1829 roku, popierane przez rząd Królestwa Polskiego, by otworzyć rynek dla polskiego cynku. Na statku z cynkiem i innymi towarami wyruszył do Indii urzędnik tegoż banku, Władysław Małachowski, ale jego misja nie powiodła się z powodu wybuchu powstania listopadowego. Chodziłem więc po ulicach Bombaju, nie mogąc liczyć na pomoc żadnego zamożnego rodaka aż dochodziłem do granic wytrzymałości i wtedy kupowałem kolejną butelkę wody. Za każdym razem, gdy podchodziłem do kiosku z wodą przypominałem sobie nierówny bruk wąskich ulic w okolicy Błękitnego Meczetu w Stambule i chłód wiosennego deszczu. Jednak nie tylko ten widok stawał mi przed oczami. Także i widok pustyni, przez które przejechałem w drodze przez Iran i Afganistan. Przeciąłem wtedy, zapewne kilkakrotnie, szlak polskich uciekinierów z Syberii. Tych, którzy z armią polską szli bić się w ogarniętej druga wojną światową Europie i tych, którzy nie mieli sił by udać się gdziekolwiek dalej. Tych, których tysiące znalazły się w czasie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu na ziemi indyjskiej. Było wśród nich czworo moich kuzynów, syberyjskich dzieci, którym dane było w Indiach powrócić do zdrowia po wyjściu z „nieludzkiej ziemi”. O nich też pamiętałem, podchodząc do kiosku z wodą, a także przechodząc obok restauracji i tanich barów, do których jednak nie mogłem wejść,

bo, podobnie jak moi krewni w latach czterdziestych, nie miałem kieszeni wypełnionych rupiami. Indyjskich żebraków podchodzących do mnie z prośbą o jedną rupię wprawiałem w zdziwienie wyciągając rękę, pół żartem pół serio prosząc o parę paisa.

Choć mój los był tylko trochę podobny do losów moich kuzynów, to jednak trafiałem i w Indiach na ich ślady, jak i na ślady innych Polaków, którzy byli w Indiach kilkadziesiąt lat przede mną. W Bombaju mieszkałem w instytucie muzycznym założonym przez Ślązaka, Geogra Prokscha, którego ojciec prawdopodobnie znał mego pradziadka z lasów trembowelskich. On wyratował mnie przed utratą zdrowia, jeśli nie także i życia, posyłając do szpitala, za który zapłaciłem tyle ile płaciłoby miasto za indyjskiego żebraka (szpital należał do katolickiego zakonu, podobnie jak instytut, i był położony na terenach podarowanych przez księdza Prokscha). Nie znał on wprawdzie moich kuzynów, ale lasy Trembowli, w których jego ojciec był leśniczym, były lasami jego dzieciństwa.

Ryszard Sawicki, Słonie, rys., pastel na tle malowanym gwaszem.

Ksiądz Proksch ułatwił mi spotkanie z panią Hirabai Petit. W bogatej dzielnicy Malabar Hill odszukałem jej mieszkanie pod 27 numerem przy Nepean Sea Road. Byłem u niej parę razy z wizytą, częstowała mnie obiadem i wspaniałymi perskimi ciastkami, których smaku nigdy nie zapomnę. Podobnie jak nie zapomnę smaku brytyjskich biszkoptów, których małe paczuszki kupowałem gdzie tylko je zobaczyłem, gdy dostałem wreszcie przekaz bankowy.

Ksiądz Proksch nie znał dokładnego adresu pani Hiry. Na jednym z placów Malabar Hill, w pobliżu Parsee Towers of Silence, znalazłem jednak bez trudu wielki pomnik z podpisem na tablicy z brązu: „Erected by numerous friends and admirers as a tribute to the memory of their distinguished and philantropic fellow citizen Nasserwaiji Maneckji Petit, esq. J.P. in appreciation of his excellent virtues and extensive charity, died 2nd Nov. 1891, aged 64 years" (Pomnik wzniesiony przez licznych przyjaciół i admiratorów ku pamięci filantropa i wybitnego obywatela, Nasserwaiji Maneckji Petita, esq. jako wyraz podziwu dla jego wspaniałych zalet i dobroczynności, który zmarł drugiego listopada 1891 roku w wieku lat 64). Pukając do drzwi kilku mieszkań w sąsiednich kamienicach, dowiedziałem się jaki był adres pani Hiry. Wszedłem do starej, zaniedbanej kamienicy z szerokimi schodami. Na masywnych drzwiach jednego z mieszkań znalazłem kartkę pożółkłego papieru z napisem: „Tibetan Refugees, Maurycy Frydman, H. Petit, Indo-Polish Library" (Uciekinierzy z Tybetu, Maurycy Frydman, H. Petit, Biblioteka Indyjsko-Polska), a poniżej umieszczono jeszcze kilka tybetańskich imion i nazwisk.

Maurycy Frydman (używał też imienia Bharatananda) urodził się w Warszawie w 1901 roku, zmarł tuż przed moim przyjazdem do Indii, w 1976 roku (ja przyjechałem w roku 1977). Do Indii dotarł w 1933 roku, miał pracować jako inżynier przy budowie fabryki przyrządów elektrycznych w Mysore. Budowa fabryki została ukończona w 1934 roku. W tym samym roku spotkał się z Sri Ramanem Maharishim z Tiruvannamalai koło Madrasu. W 1936 toku poznał Gandhiego, a dwa lata później Krishnamurtiego. Zamieszkał u boku Gandhiego w Sevagram koło Wardha. Był zatrudniony we wspólnocie jako projektant urządzeń dla przemysłu, m.in. zaprojektował kołowrotek do urządzeń włókienniczych. Przebywał wtedy w tych samych kręgach, w których przebywała od 1935 roku Wanda Dynowska, późniejsza tłumaczka wielu książek autorów hinduskich na język polski. Olgierd Budrewicz

opisuje spotkanie z nim w domu przy ulicy Nepean Sea w swojej książce „Spotkania z Polakami” wydanej w 1969 roku.

> *Maurycy Frydman, niski, szczupły, siwy mężczyzna, przyjął mnie w swym bombajskim mieszkaniu wypełnionym antycznymi, bogato rzeźbionymi meblami, marmurowymi figurkami, uczonymi księgami,*

pisze Budrewicz w „Spotkaniach”. Przypuszczam, że opisuje mieszkanie Hirabai Petit, u której mieszkał Frydman. *„Zegar ścienny odzywał się kilkakrotnie w czasie naszej rozmowy*”, kontynuuje.

> *Po mieszkaniu kręciło się mnóstwo ciemnolicych, a bliżej nieokreślonych postaci. Gospodarz przerywał niekiedy opowieść o swym niezwykłym życiu by porozmawiać z kimś przybyłym lub odebrać telefon.*

Podczas moich wizyt, po śmierci Frydmana, mieszkanie pani Hiry było puste. Nie było tybetańskiego tłumu, nikt nie przerywał moich rozmów, które odbywały się w zupełnej ciszy. Tylko ścienny zegar wciąż „mówił” tym samym głosem.

Kiedy przychodziłem z wizytą, drzwi z nazwiskami Hirabai Petit i Maurycego Frydmana zapisanymi na pożółkłej kartce otwierała mi stara hinduska służąca. Składała na powitanie ręce i uśmiechając się bardzo serdecznie zapraszała do środka. Podczas pierwszego powitania podałem jej bilet wizytowy, jeden z niewielu, które udało mi się wydrukować za specjalnym pozwoleniem władz w Polsce. Po dłuższej chwili usłyszałem nierówne, z trudem stawiane kroki. W ciemnym korytarzu zjawiła się mała, zgarbiona kobieta o siwych włosach. Jej twarz była jednak prawie zupełnie pozbawiona zmarszczek. Przeszliśmy razem przez pierwszy, duży pokój wypełniony starymi meblami, obrazami, fotografiami i szafami z wielką ilością bibelotów ustawionych na zakurzonych pułkach. Drugi pokój był podobny, lecz lepiej oświetlony, bardziej przestronny. Pani Petit wskazała jedno z krzeseł stojących przy olbrzymim stole, „witam gościa z Polski”, powiedziała po angielsku. Usiedliśmy.

Szybko zorientowałem się, że wymiana zdań nie będzie łatwa. Staruszka próbowała naprzód uruchomić aparat słuchowy, lecz po chwili zrezygnowała z tego, podała mi jeden z grubych zeszytów, które leżały na stole. Miałem zapisywać swoje pytania lub

odpowiedzi. Mówiła nieco podniesionym, charakterystycznym dla niedosłyszących osób głosem. Od razu zaczęła mówić o Bibliotece Polsko-Indyjskiej. Powiedziała, że właściwie przestała istnieć po śmierci Maurycego Frydmana, że ona boryka się z trudnościami związanymi z wydaniem ostatniej książki, ale amerykańscy przyjaciele niewiele pomagają, bo jest ich coraz mniej. Odpowiedziałem, że liczę się z możliwością imigracji do Stanów, poprosiła więc bym przekazał kilkanaście listów z prośbą o pomoc. Umówiliśmy się, że przyjdę po nie za kilka dni. Zaprosiła na lunch i obiecała dać jedną z ostatnio wydrukowanych książek.

Na Nepean Sea Road zjawiłem się w piątek o jedenastej. Pani Petit kończyła właśnie przyrządzać sos do makaronu. Stały obydwie ze służącą przy małej kuchence ustawionej w rogu pokoju i kłóciły się o to, co która ma robić. Ja miałem siedzieć przy stole i czytać książkę zawierającą teksty rozmów Maurycego Frydmana z hinduskim guru. Nad głową bezszelestnie obracał się duży wentylator, pani Hira nie dopuszczała do kuchenki służącej, a ta nie chciała jej zostawić samej. Co chwila pojawiały się nuty zniecierpliwienia w ich głosach, lecz nie było w nich śladu zagniewania. Pani Hira wyszła po coś do spiżarni, wtedy zamieniłem ze służącą kilka zdań na temat panujących upałów. Powiedziała, że tego kwietniowego dnia było ponad trzydzieści stopni, ale do czerwca, kiedy zwykle przychodzą monsuny, jest jeszcze daleko, trzeba zachować cierpliwość. Radziła nie chodzić po nasłonecznionej stronie ulic, co, mimo, że po stronie zacienionej jest zawsze duży tłok, jest znacznie lepszym sposobem poruszania się po indyjskich miastach. Stosowałem się odtąd do jej rady i stwierdziłem, że wymijanie ludzi, przystawanie co krok, a nawet potrącanie przez przechodniów jest mniej uciążliwe niż spacer w słońcu, gdzie kiedyś spacerowali *„tylko szczególnie uparci Anglicy… i wściekłe psy*”, jak powiedziała staruszka (zacytowała popularne powiedzenie z okresu brytyjskiego Raju). Przy obiedzie milczymy, bo nie można przecież jednocześnie jeść i pisać w zeszytach. Potem wracamy do rozmowy o Bibliotece Polsko-Indyjskiej. Pani Hira wręcza mi książkę „Conversations with Sri Nisargadatta Maharaj” przetłumaczoną z marathi przez Maurycego Frydmana a wydrukowaną pod angielskim tytułem „I Am That” (Jestem tym), i każe mi napisać: „from Maurice Frydman”. „Może mam też dodać ‘od Uma Devi’?”, miałem zapytać, ale Pani Hira właśnie podała perskie ciastka, nie umieściłem więc pytania w zeszycie.

Z Wandą Dynowską nie zdążyłem się spotkać. Zmarła w misyjnym szpitalu w Mysore

2o marca 1971 roku. Nie zdążyłem porozmawiać z nią ani o Bibliotece Polsko-Indyjskiej, ani o jej pracy przy ambasadzie polskiej w Bombaju. Nie zapytałem też czy pamięta kilkunastoletniego chłopca z twarzą naznaczoną zmarszczkami, który miał na imię Franciszek, ani o jego dwóch młodszych braci i siostrę. Franciszka Gana i jego rodzeństwo, moich kuzynów, poznałem w latach osiemdziesiątych w Anglii, gdzie dostali się po długiej rekonwalescencji w Indiach. Ich ojciec był przed wojną komisarzem policji w Buczaczu, a takich ludzi i ich rodziny Sowieci uznali za „szczególnie niebezpiecznych". Oprócz policjantów byli to także oficerowie, nauczyciele, pisarze, księża, urzędnicy administracji państwowej, działacze polityczni, przedsiębiorcy, kupcy, rzemieślnicy, kolejarze, pocztowcy i leśnicy. Spośród moich krewnych i ich znajomych, bardzo wiele osób należało do tych właśnie grup społecznych. Toteż wielu z nich podzieliło los rodziny Ganów. Byli aresztowani, deportowani, ginęli bez wyroku lub z wyroku opartego na fikcyjnych oskarżeniach. Trafiali do łagrów nad Kołymą, pod Świerdłowskiem i w innych rejonach „nieludzkiej ziemi" czyli Kraju Rad.

Po zajęciu Buczacza przez oddziały Armii Czerwonej w 1939 roku komisarz Gan został zamordowany wraz z żoną w swoim domu. Dzieci zostały zabrane z domu, wywiezione na Syberię i umieszczone w oddzielnych obozach. Najstarszy z nich, Franciszek, zdołał sprowadzić rodzeństwo do jednego obozu, dzięki czemu cała czwórka opiekowała się sobą wzajemnie i mogła przetrwać. Wyjechali z Syberii z Armią Andersa. Ponieważ byli jednak zbyt osłabieni pobytem w łagrach i chorobami, musieli naprzód przejść rekonwalescencję. Skierowano je do Indii, gdzie w lepszym klimacie wracali powoli do zdrowia. Pamiętam, że podczas naszych rozmów w Anglii, Franciszek kreślił na kawałku papieru mapę obozów dzieci polskich w Rosji i kierunki deportacji. Pojawiło się na niej mnóstwo punktów od Morza Białego po jezioro Bajkał, a linie oznaczające przemieszczenia prowadziły z północy na południe i południowy-wschód. Znalazłem odpowiednik tej mapy w publikacji pod tytułem „Z Kresów przez Afrykę" (wspomnienia opracowane przez Ryszarda Sławczyńskiego, wydane przez Klub Muzyki i Literatury we Wrocławiu w 2001 roku). Była ona skopiowana z opracowania Ł. Z. Królikowskiego pt. „Skradzione dzieciństwo" (Kraków 1991). Franciszek mówił o sierocińcach w Indiach, ale wspominał też o osiedlach, które powstały w Afryce. W jego opowieści mieszały się więc nazwy miejscowości z różnych stron świata: Samarkanda, Karaganda, Tomsk, Irkuck,

Pahlewi, Karaczi, Kolhapur, Mombasa, Masindi. Brzmiały te nazwy i dla mnie nie obco, bo sam przejechałem przez Turcję, Iran, Afganistan i Pakistan w drodze do Indii, a parę lat wcześniej zwiedzałem Taszkient, Samarkandę i Bucharę podczas studenckiej wycieczki. Jednak nie byłem nigdy we Wschodniej Afryce, dotknąłem tylko północnego krańca tego olbrzymiego kontynentu i to po latach, które upłynęły od naszej rozmowy na Wyspach Brytyjskich. Franek został w Anglii wykładowcą jednej z uczelni technicznych, miał żonę i dzieci. Pokazywał mi kolorowe zdjęcia ze szkół i uczelni swoich synów, tak różnych od szkół w jakich uczyły się polskie dzieci w latach czterdziestych w Teheranie i Awhazie, gdzie jedynym podręcznikiem był „Polak w Iranie".

Franek opowiadał o swoich przeżyciach wielokrotnie. Nie tylko ja byłem jego słuchaczem. Do Anglii dotarły też inne polskie dzieci z Syberii i Indii. Po latach, założyli oni w Londynie Koło Polaków z Indii. W 2000 roku Koło wydało książkę zawierającą kopie dokumentów i wspomnienia z tamtych lat („Polacy w Indiach 1942-1948 w świetle dokumentów i wspomnień", Londyn, Koło Polaków z Indii, 1942-1948, 2000). O Wandzie Dynowskiej jest tam sporo informacji, podobnych do tych, które ukazały się po jej śmierci w czasopismach polskich publikowanych na obczyźnie. Irena Hradyska była sekretarką Dynowskiej w latach 1946-1948. Obie panie spotkały się na obczyźnie, w Indiach, a połączyła je wspólna praca dla ojczyzny. W tym okresie Dynowska, jak pisze jej sekretarka, przejęła wiele obowiązków zlikwidowanego konsulatu polskiego, z którym była związana w okresie wojny. Kira Banasińska, żona konsula Eugeniusza Banasińskiego, pisała o tej przeprowadzce do swego krewnego Onufrego Korewy, że pod koniec 1944 roku wyjechała z mężem do Lodnynu, gdzie mąż dostał przydział w MSZ, „ale już wszystko się kończyło". Wyjaśniła też, że podobnie jak wielu innych Polaków, nie czuli się dobrze w brytyjskiej stolicy. Nastroje te podzielał też mój ojciec, który wyjechał z Wysp Brytyjskich do Polski w 1947 ze względu na, jak mówił, „nieznośną atmosferę". Pani Kira napisała dyplomatycznie w liście do rodziny, że wrócili bo „w Indiach mieli wielu przyjaciół" (list Kiry Banasińskiej z 20 stycznia 1965 roku, wysłany z Indii do Polski, który cytowałem w artykule pod tytułem „Dom na wzgórzu", Zesłaniec nr 14/2003).

Wanda Dynowska irazem z Maurycym Frydmanem stworzyli Bibliotekę Polsko-Indyjską.

Dynowska i Hradyska umiały ocenić tę atmosferę z dużej odległości, nie próbowały szczęścia tam, gdzie czuć się mogły jak niechciani intruzi. Hradyska napisała w swoim wspomnieniu o Dynowskiej, że po wojnie zajmowały się z Wandą Dynowską „prostowaniem komunistycznych banałów", co, jak się domyślam, łączyło się z ich działalnością publicystyczną. Tak więc obydwie Polki zajmowały się sprawami narodowymi już po oficjalnym wyjeździe dyplomatów polskich do Londynu. W tym samym artykule Hradyska pisze jednak dużo więcej o wcześniejszej działalności Dynowskiej w Indiach.

> *Gdy Uma Devi była pochłonięta walką o niepodległość drugiej ojczyzny, gazety przyniosły do Indii hiobową wieść: 'Dziś nad ranem 1 września Niemcy napadły na Polskę, wojna w Europie'. Z miejsca przedzierzgnąwszy się z kobiety w sari w europejską podróżniczkę, Wanda Dynowska ruszyła w drogę do Polski. Gdy dotarła do Rumunii, zastała uchodźców, rozbite jednostki wojskowe, rząd i ludzi, z którymi kiedyś łączyło ją tak wiele w czasach pracy niepodległościowej z Józefem*

Piłsudskim. Teraz było już po wszystkim. W pierwszym porywie chciała przedrzeć się do Polski. Iść pod prąd tych, co uciekali na Rumunię. Nie udało się. Pierwszy chyba raz w życiu pokonana, wróciła do Indii. Została zatrudniona w dziale propagandy, przysparzając wielu kłopotów pracownikom MSZ. Nie można sobie wyobrazić dowcipniejszej kombinacji, z jednej strony panowie w bez zarzutu skrojonych tropikalnych garniturach, z minami zapożyczonymi od Edena, pedantyczni, dobrze ułożeni, owijający wszystko w dyplomatyczną bawełnę, traktujący Indusów z pobłażliwą wyższością, zupełnie nie interesujący się kulturą i religią tego kraju, z drugiej strony kobieta depcząca konwenanse bosą stopą w sandałach, odziana w ręcznie tkane samodziały, z czerwoną kropką wymalowaną między brwiami na znak praktykowania hinduizmu, nie dająca się nagiąć do urzędowych godzin, wprowadzająca chaos do szufladek i kartotek, mówiąca wszystko, co na myśli i sercu, bez ogródek. (Wspomnienie Hradyskiej drukowane w londyńskich „Wiadomościach" w 1960 roku).

Muszę przerwać w tym miejscu wywód pani Hradyskiej i dołączyć małe sprostowanie. Otóż, być może wielu pracowników konsulatu polskiego przyjęło maniery ich brytyjskich kolegów, ale nie wszyscy byli „panami w bez zarzutu skrojonych tropikalnych garniturach" i nie wszyscy ignorowali hinduskie otoczenie. Jedną z najserdeczniejszych przyjaciółek Kiry Banasińskiej była jedna z córek nizama Hajdarabadu (nizam, to, początkowo, jak podaje Wielka Encyklopedia Powszechna, tytuł zarządców prowincji Dekan w Indiach za panowania dynastii Wielkich Mogołów, potem, od 1724 roku, tytuł uzależnionych od tejż4e dynastii władców Hajdarabadu). Pani Kira dzieliła z nią przez wiele lat mieszkanie w wielkiej willi na wzgórzu nad Hajdarabadem. Obydwie staruszki do późnej starości szanowały się i rozumiały doskonale. Sam to obserwowałem podczas wizyty w Hyderabadzie. Państwo Banasińscy nie mogliby prowadzić tak szeroko zakrojonej pomocy polskim uchodźcom z Syberii, gdyby nie ich bliskie kontakty z Hindusami.

W pomoc Polakom zaangażowana też była Wanda Dynowska. Wprawdzie z konsulatem łączyły ją sprawy służbowe, jednak często dochodziło do starć, a nawet zerwań i rozstań. Hradyska wspomina, że

nie ona byłą stroną przepraszającą, bo jej kontakty z wysoko postawionymi w

świecie induskim osobami były zbyt potrzebne konsulatowi by je wraz z „Umeczką" odrzucić.

Nie chcę wdawać się w dyplomatyczne spory na temat tych kontaktów, oddam więc głos Kirze Banasińskiej, która w swych wspomnieniach zanotowała, że już w październiku 1939 roku zorganizowała w domu spotkanie pań, które zająć się miały organizowaniem pomocy.

Odzew był natychmiastowy. Powstał komitet pań, które zajęły się gromadzeniem wszelkiego rodzaju darów, głównie ubrań, leków i żywności. Dom nasz stał się swoistym karawanserajem, otwartym dla wszystkich grup polskich wojskowych trafiających do Indii z Rosji przez Afganistan. Konieczna też byłą zgoda władz Indii na przyjęcie przynajmniej sierot. Udało się to osiągnąć dzięki osobistym staraniom moim i Eugeniusza (fragment wspomnień opublikowany w dodatku „Plus Minus", Rzeczpospolita, 2000).

Wnosić więc należy z tych cytatów, że współpraca wielu osób, także pań z konsulatu, choć nie zawsze harmonijna, była jednak możliwa. Hradyska pisze zresztą nie tylko o konfliktach, ale właśnie o tej współpracy. Z ramienia konsulatu Dynowska objeżdżała Indie z odczytami o Polsce, zbierała dary dla Polskiego Czerwonego Krzyża, wydawała informacyjny biuletyn w języku angielskim, który był serwisem prasowym naświetlającym sytuację kraju pod obydwu okupacjami. Założyła nie tylko Bibliotekę Polsko-Indyjską, ale i Stowarzyszenie Polsko-Indyjskie.

Z przyjazdem do Indii 5,000 zesłańców z Syberii i Kazachstanu, zaczął się dla niej nowy, jeszcze czynniejszy rodzaj życia. Na parę lat trzeba było zapomnieć o medytacjach w aszramach induskich. Żywi ludzie, tylko co zwolnieni katorżnicy, a zwłaszcza dorastająca młodzież oderwali ją od świata mistyki. Im chciała pokazać Indie, z ich głębią myśli filozoficznej, a Indiom odkryć duszę Polski, jej historię, kulturę. Uważała, że oba narody łączy mimo odległości geograficznej nić podobieństwa. W ciągu pięcioletniego pobytu uchodźców w Indiach była częstym gościem w osiedlach polskich, szczególnie w obozie Valivade koło miejscowości Kolhapur. Na odczytach jej było zawsze przepełnienie (wspomnienie o Dynowskiej, pióra Hradyskiej, publikowane w londyńskich „Wiadomościach" w 1960 roku).

U jej boku i pod jej wpływem dorastało kilkoro ciekawych ludzi, choćby Danuta Irena Bieńkowska, Bogdan Czaykowski i Jerzy Krzysztoń, autor ‘Opowiadań indyjskich’ oraz dwu powieści „zesłańczo-wolnościowych” zatytułowanych „Wielbłąd na stepie” i „Krzyż Południa”. Akcja pierwszej dzieje się w latach 1940-1942 na terenach Kazachstanu i Uzbekistanu, drugiej zaś w latach 1942-1944 w Persji. W obu utworach autor wykorzystuje osobiste doświadczenia i wspomnienia z tamtych lat, których był świadkiem jako dorastający chłopiec. Daje opis zesłańczych dziejów, losów rzesz Polaków zagnanych przez sowieckie władze w dalekie azjatyckie strony, ich trudnych przeżyć, dramatycznych doświadczeń, upartych nadziei (o tych dwóch książkach przypomniał mi prof. Antoni Kuczyński).

Przyjazd Dynowskiej do obozu oznaczał ożywienie życia kulturalnego, kontrowersje, „kij w mrowisku”. Być może przypominała rodakom o tym, że nie oni pierwsi przybyli z Polski do Indii. Może mówiła nie tylko o Małachowskim, ale i o Krzysztofie Pawłowskim, który wziął udział w portugalskiej wyprawie do Indii w 1596 roku. I o Pawle Palczewskim, który czynił *„wielkie peregrynacje po Indii orientalnej i occidentalnej”*, o czym wspomina w swej „Kolędzie moskiewskiej” wydanej w 1610 roku. Jan Kochanowski napisał wiersz pod tytułem „Nagrobek Kretkowskiego” i podał, że ten kasztelan brzesko-kujawski i gnieźnieński studiował w Padwie, a za Zygmunta Augusta posłował do sułtana tureckiego i był *„gdzie się Ganges toczy”*. Maciej Sarbiewski uczcił też wierszem wyjazd do Indii jezuity Andrzeja Rudominy. W 1736 roku na misję do Malabaru wyruszył z Polski Mikołaj Szostak i został po latach biskupem Werapuli. W książce „Historia de Goa” de Saldhana wspomina o Polaku, który walczył przeciw oddziałom portugalskim w obronie fortu Diu pod imieniem Mustafa Khan. Dostał się do niewoli, pracował przy budowie portugalskich fortów i był znany pod imieniem Gaspar da Gama.

Ryszard Sawicki, India Varanasi, rys, pastel na tle malowanym gwaszem.

Dynowska chciała przybliżyć polskim uchodźcom kulturę Indii. Rozporządzając drobnymi tylko funduszami zebrała na wycieczkę krajoznawczą po Indiach kilkadziesiąt dziewcząt i chłopców. Objechali spory szmat Indii, od Maharasztry, w której był położony obóz, po Cape Comorin, tańcząc i śpiewając w strojach narodowych, zbierając z przedstawień pieniądze wystarczające na przeżycie od postoju do postoju. Pomyśleć tylko jaką energię miała ta już wtedy blisko sześćdziesięcioletnia kobieta", pisała Irena Jeziorkowska, która spotkała Dynowską w Londynie w 1964 roku. Dynowska zjeździła z odczytami o walczącej Polsce prawie całe Indie, dodała Jeziorkowska (Irena Jeziorkowska, „Biblioteka polsko-indyjska", Wiadomości 1964). Podnosiła też rodaków na duchu, wielu chorym ułatwiała dotarcie do lekarzy i do szpitali. Przynosiła ze sobą uśmiech, miłość i niezapomnianą atmosferę. W swojej książce „All for Freedom" (Wszyscy dla wolności) tłumaczyła hinduskim czytelnikom skomplikowane sprawy związane z powstaniem warszawskim.

Po wojnie, jak pisze Hradyska, kiedy Indie odzyskały niepodległość, a w Jałcie przypieczętowano nowy zabór Polski, Dynowska współpracowała nie tylko ze swoją sekretarką, lecz i z Hariszczandrą Bhatem, zatrudnionym wcześniej w polskim konsulacie, pośmiertnie uznanym za jednego z największych poetów hinduskich. W tym też okresie zajmowała się Biblioteką Polsko-Indyjską. Od 1944 do 1971 roku zostało opublikowanych 127 pozycji w ramach biblioteki. Jednak i wtedy angażowała się w prace społeczne, podobnie jak w Polsce przed wojną i w czasie wojny oraz w Indiach do śmierci Gandhiego.

W 1960 roku, gdy wojska chińskie zalały Tybet i tysiące Tybetańczyków wraz z Dalaj-Lamą uchodzić musiało z Lassy, Dynowska poświęciła się pracy dla uchodźców tybetańskich. Pracuje w Dharmsali w otoczeniu Dalaj-Lamy, potem zostaje przełożoną ochronki dla Tybetańczyków w Bylacupe, sto kilometrów od Mysore. Postawa Hindusów po śmierci Gandhiego głęboko ją rozczarowała, przyjęła więc buddyzm i złożyła śluby zakonne. Wieloletni wysiłek nadwątlił jednak jej zdrowie. Znalazła się w internacie sióstr Nimala Convent w Mysore. Odwiedził ją tam polski ksiądz, Marian Batogowski, wychowawca chłopców Boys Home w Mysore. Wysłuchał spowiedzi, udzielił ostatniego namaszczenia i pierwszej komunii. Zapisał wtedy:

„Jeśli kiedykolwiek mogłyby powstać zastrzeżenia natury formalno-prawnej na temat jej powiązań z teozofią i buddyzmem, odpowiedź będę miał jasną i pełną świadomości, iż jeśli podobna postawa i dyspozycja była w całej masie nas, kapłanów i katolików, których bez oporów przyjmujemy i udzielamy sakramentów świętych – bylibyśmy społeczeństwem pięknym i świętym; wierzę, że spełniło się jedno z zaskakujących misteriów Bożej dobroci i miłosierdzia" (cytat pochodzi z noty biograficznej opublikowanej we wspomnianej już książce „Polacy w Indiach"). Dynowska wróciła przed śmiercią do religii katolickiej. *„Krańcowa jej natura nie mogła w niczym znaleźć umiarkowania"*, napisała Hradyska na zakończenie swego artykułu. Tego, który rozpoczęła od zdania:

> *Była tak barwna jak te kolorowe sari okrywające ją przez kilkadziesiąt lat, od chwili gdy wyjechawszy z Polski postanowiła resztę życia spędzić w Indiach.*

Sądzę, że jej młodość była tak samo kolorowa jak późniejsze lata. Urodziła się w Petersburgu. Dzieciństwo i młodość spędziła nad jeziorem Istal w polskich Inflantach, wśród przyrody, której umiłowanie graniczyło z kultem. Matka Wandy, Helena z Sokołowskich, wprowadziła córkę w świat duchów przyrody, a sama uchodziła za jasnowidzącą. Matka opowiadała dziecku nie tylko o roślinach leśnych lecz i o elfach i skrzatach. Pokój dziecinny Wandy był wypełniony kłosami zbóż i traw, kwiatami i nasionami kwiatów, gałęziami i zasuszonymi liśćmi. W otwartym domu rodziców w Istalsno skupiało się towarzystwo pisarzy, malarzy i polityków. Tam poznała Tadeusza Micińskiego z Warszawskiego Towarzystwa Mistycznego i odtąd datuje się jej zainteresowanie mistycyzmem. Z wybuchem wojny w 1914 roku wyjechała z matką do Jałty, odwiedziła Moskwę. W 1919 przyjechała do Warszawy i nawiązała kontakt z członkami Towarzystwa. Już wtedy zajmuje się pracą redakcyjną, redaguje czasopismo „Myśl teozoficzna", a później „Biuletyn teozoficzny". Tłumaczy też książkę Krishnamurtiego „At the Feet of the Master". Wszystkim pracom oddaje się z wielkim zaangażowaniem, sprzedała nawet swą biżuterię by móc wyjechać do Paryża na spotkanie z Annie Besant i Krishnamurtim. Studiowała w Krakowie, Lozannie i Paryżu. Podczas przewrotu w 1926 roku była kurierką marszałka Józefa Piłsudskiego, a jej poglądy życiowe i pisarstwo kształtował profesor Limanowski.

O życiu prywatnym Dynowskiej niewiele jednak wiadomo. Kazimierz Tokarski twierdzi, że miała narzeczonego imieniem Szczęsny, który zginął w potyczce z wojskami sowieckimi pod Baranowiczami w 1920 roku. Podobno bardzo odczuła tę śmierć i dlatego pozostała samotną osobą przez resztę życia. Choć nie spotkałem się z Wandą Dynowską podczas podróży indyjskich, jej obecność w Bombaju i innych miastach wydawała mi się uchwytna. I nie tylko w Indiach. Myślałem o jej pracy już wtedy, gdy z kuzynem Franciszkiem i jego rodzeństwem rozmawialiśmy w Anglii o ich cudownym niemal uratowaniu z bolszewickiej katorgi. Książki, które tłumaczyła i kolportowała, docierały do Polski nawet przed moim wyjazdem z kraju w 1977 roku.

Kiedy stanąłem pod drzwiami domu przy Nepean Sea Road, pomyślałem o niej raz jeszcze. Chodziłem po Bombaju po jej śladach, a nawet i w Hyderabadzie, patrząc na pogrążoną w lekturze Koranu córkę nizama, przyjaciółkę Kiry Banasińskiej, wydawało mi się, że widzę postać Dynowskiej pochyloną nad stronami Bhagavad Gity.